Nr. 18. We Lwowie, Poniedziałek dnia 5 maja. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Z teatrów londyńskich

W maju 1890 r.

Tytuł *Royal*, którym się szczycą niektóre teatra tutejsze, jest czysto nominalnym. Anglja nie posiada żadnych teatrów rządowych w tem słowa znaczeniu, w jakiem się je zwykło rozumieć na kontynencie. Ani rząd, ani też miasta nie czynią niczego celem podniesienia teatru. Teatra tutejsze są albo przedsiębiorstwami, czysto handlowemi, albo też są polem popisu dla dzierżawiących je artystów. Zdarzają się też, od czasu wypadki, że popisy te kończą się bankructwem.

Mimo to amatorów nie braknie. Artysta będący „na stanowisku“ wynajmuje teatr, zbiera towarzystwo najczęściej *„for the run of the piece,“* to jest na tak długo, dopóki sztuka pewna przedstawiana dzień po dniu robi kasę. Trwa to czasem parę miesięcy, czasem kilka tygodni, poczem towarzystwo się rozwiązuje.

Zaimprowizowany w ten sposób, impresarjo jest w swym teatrze wszystkiem: dyrektorem, reżyserem, aktorem, niekiedy nawet autorem. Znaczna część tych przedsiębiorców znika po pewnym przeciągu czasu z horyzontu, ale są między nimi i szczęśliwi wybrańcy losu, którzy doprowadzają do sławy i fortuny.

Jedną z takich osobistości jest Henryk Irving, bożyszcze publiczności, która z radością powitałaby wiadomość o wyniesieniu artysty do stanu szlacheckiego, lub też z całą pewnością zaszczyciłaby go wyborem do izby gmin.

Podobno sam Irving nie pogardziłby mandatem i tylko wzgląd na wieczorne posiedzenia izby, w którym to czasie artysta jest zajęty na scenie, powstrzymuje go od zamiaru kandydowania.

Irving jest właścicielem teatru *„Lyceum“*. Liczy obecnie lat pięćdziesiąt. Wielki artysta na pierwszy rzut oka przedstawia się bardzo niekorzystnie. Chód powolny, ociężały, ruchy wcale nieestetyczne, ramiona i nogi przypominają kończyny rozpostarte pająka. Organ posiada artysta wcale niesympatyczny, a jednak mimo tych wszystkich usterek, porywa swą grą jenialną flegmatycznych synów Albionu, zwłaszcza w rolach, w których indywidualność jego nie jest zbyt rażącą. (Do niedawna jesze grywał Irving Romea.) Obecnie przedstawia bohatera w senzacyjnym utworze p. t. *„The Dead Heat“*, osnutym na tle wielkiej rewolucyi. W prologu występuje Irving jako młody, szlachetny kochanek, co Bogiem a prawdą wygląda bardzo komicznie. Śmieszność ta jednak znika bez śladu w dalszym toku utworu, gdy widzimy po przerwie lat ośmnastu tego samego człowieka starcem osiwiałym, który oswobodzony po zburzeniu Bastylji myśli nieustannie o zemście. Irving jest nietylko znakomitym artystą, ale i wybornym kierownikiem sceny. Jemu zawdzięcza scena angielska wskrzeszenie dzieł Szekspira, przyczem wydoskonalił do wysokiego stopnia sposób wystawy scenicznej, niezapominając o staranności w grze całego swego otoczenia. Wśród takowego wyróżniają się przedewszystkiem miss Ellen Terry, klasycznie piękna i wielce utalentowana aktorka, oraz Bancroft, zdolny artysta, celujący w rolach bonvivants. Mimo wielkich postępów, jakie zrobiło Lyceum pod wodzą Irvinga, nie może się teatr ten wyzwolić z fatalnego błędu, będącego plagą wszystkich tutejszych teatrów, acz wielce korzystnego dla kasy. Jest niem nieustanne powtarzanie jednej i tej samej sztuki na danej scenie. System ten co prawda dozwala przedsiębiorcy czynić znaczne oszczędności w wydatkach na personal. Zyskuje na tem okazałość wystawy, co do której publiczność tutejsza jest bardzo wybredną.

Obok *Lyceum* ustaloną reputacją cieszy się *Heymarket-Theatre*, uprawiający w przeważnej części wydział sztuk salonowych i oraz teatra *Garrick* pod dyrekcją Harego, *Schaftesbury* pod wodzą Willarda, *Court* pod kierownictwem Wooda. Piękna Langtree rezyduje w *St. James*,, Wyndham w *Criterionie*. We wszystkich tych teatrach dyrektor, czy też dyrektorka, jest pierwszą figurą, stanowiącą punkt centralny swego otoczenia. System ten występuje tem jawniej na jaw w teatrach *Terry* i *Toole*, które wzięły swą nazwę od właścicieli. Terry i Toole są komikami znakomitymi, gdyż przyznać należy, że sztuka komiczna stoi tutaj bardzo wysoko. Mówimy przedewszystkiem o tak zwanej płaskiej komice, której niższym jeszcze okazem są klowny cyrkowe, cieszący się zdawien dawna ustaloną reputacją na kontynencie. Wracając do Torrego, i Tolego, wyznać wypadnie, że obaj przesadzają niekiedy w szalony sposób. Mają też po temu szaloną pokusę, grając co wieczora jednę i tę samą krotochwilę na własnej scenie, tem bardziej, że i publiczność tutejsza wymaga gry silnie podkreślanej.

Przyprawa pieprzna konieczną jest dla publiczności tutejszej, lubującej się w karkołomnej krotochwili, albo też straszliwym melodramacie, który się obejść nie może bez strzałów eksplozji, rozbicia okrętów i tym podobnych silnych effektów. Niższe klasy społeczne, manifestują przy tej sposobności swe przekonania moralne. Cnotliwy bohater, niewinna ofiara losu, zbierają przy każdem pojawieniu się na scenie huczne oklaski, podczas gdy czarny charakter z reguły bywa wysykany. Jeśli sztuka ma się podobać, to musi się bezwzględnie kończyć zwycięztwem cnoty nad wy-

stępkiem. Nazajutrz pojawia się z reguły w pomniejszych dziennikach pismo jakiego pastora, który piorunując na niemoralne sztuki francuskie zachwala odnośny utwór swym owieczkom.

I poczciwe owieczki tłoczą się co wieczora w teatrze, przyglądając się straszliwym okropnościom. Ale cnota trjumfuje — a z nią dyrekcja teatru. Jest przynajmniej część teatrów w Londynie, hołdujących temu kierunkowi z wielkiem powodzeniem finansowem. Główną siedzibą melodramy jest stary teatr *Drury-Lane*, który corocznie po świętach Bożego narodzenia wystawia przez kilka tygodni z rzędu czarodziejskie sztuki, przeznaczone dla dziatwy. Po nich następują melodramaty pióra samego dyrektora. August Harris — Druryolanus — jak brzmi jego adresy telegraficzny — łączy w swej osobie nietylko obowiązki aktora, dyrektora i reżysera w własnym teatrze, lecz nadto należy do zarządu dwóch innych teatrów i obecnie wybrany został do rady tutejszego hrabstwa. Chcąc scharakteryzować autorską działalność Harrisa, wystarczy przytoczyć wyjątek z jego teatralnych anonsów, w których czytamy: „Wspaniała wystawa! świetne kostjumy! znakomita komedja! Śmiech szalony! Łzy wzruszenia! Nie widziane dotychczas effekty!“

Emily Ruete.

Jestto doskonale Berlińczykom znane nazwisko. Nosi je czarna księżniczka afrykańska, którą los zagnał aż nad Sprewę i która prowadzi tam prawdziwie egzotyczne życie. W ojczyźnie znano ją jako księżniczkę Omanu i Zanzibaru, a jej ojciec piastował obydwóch tych ziem berło. Był to monarcha całkiem na sposób koranu błogosławiony; miał 75 małżonek i 36 dzieci. Nic dziwnego, że w łonie tak licznej rodziny wybuchły po śmierci jej głowy niesnaski; dziwniejsze chyba, że późniejsza Emily Ruete usunęła się od waśni familijnych w sposób wcale nie zanzibarski. Podbił jej serce giaur młody i piękny, chrześcianin, Niemiec z pochodzenia; rezygnując z wszelkiego po rodzinie spadku, jemu oddała się i poszła z ukochanym dzielić swe losy daleko na Północ.

W Adenie przyjęła chrzest święty, poczem — już jako ślubna małżonka z panem Ruete, przybyła drogą na Marsylię do Hamburga. Romantycznie zdobyte szczęście młodej pary trwało niedługo. Panu Ruete, reprezentantowi jednego z wielkich domów handlowych hamburskich, zdarzył się w trzy lata po zawarciu małżeństwa fatalny wypadek: zeskakując z wagonu tramwajowego, padł pod koła i zgruchotany, po trzech dniach okropnej męki, wyzionął ducha. Zanzibarska księżniczka, z trojgiem drobnych dzieci, ujrzała się nagle samą w świecie zupełnie dla niej obcym. Że powrót do ojczyzny był dla niej na zawsze zagrodzony, o tem wiedziała doskonale. Fanatyczni rodacy nie mogliby jej ścierpieć pośród siebie; głową musiałaby przypłacić oddanie się giaurowi. Na domiar nieszczęścia znaleźli się ludzie niesumienni, którzy wyzyskując jej nieznajomość stosunków, odarli owdowiałą murzynkę ze znacznej części jej mienia. Rozgoryczona tem ciężkiem doświadczeniem przeniosła się do Drezna, później zaś po dłuższym pobycie w Londynie, do Berlina, gdzie osiadła już na stałe. Tu mogła nakoniec używać spokoju; znalazła grono życzliwych osób, a nawet dwór cesarski odszczególniał ją jak udzielną księżniczkę.

Niezwykłe te przygody należałoby raczej opiewać w króciutkim artykuliku kronikarskim, gdyby nie okoliczność skłaniająca nas do baczniejszego zajęcia się panią Ruete, urodzoną księżniczką Zanzibaru i Omanu.

Jest ona bowiem w Niemczech znaną nietylko jako ciekawy egzemplarz zgermanizowanej arabki, lecz także jako autorka pamiętników rzetelnej godnych uwagi. Oc ywiście treść więcej niż forma podnosi jej wspomnienia wysoko ponad inne dzieła tego rodzaju; ale też treść wynagradza hojnie wszystko, cokolwiek zarzucićby mo na formie.

Już samo założenie jest niezwykłe. Wprawdzie przysłowie nasze powiada, że „każda liszka chwali swój ogon“, jednakowoż potrzeba pewnej odwagi na to, aby powiedzieć ucywilizowanej Europie bez ogródek: „Patrzcie, my dzicy jesteśmy przecie lepsi od was“.

Tezę tę autorka kolejno przeprowadza przez całe dwa tomy, z których składają się jej pamiętniki. Jako kobieta rozpoczyna od kobiet i — co za tem idzie — miłości i małżeństwa.

Owoż co do tego, nazywa autorka niedorzecznem twierdzenie, jakoby w jej ojczyźnie traktowali mężczyźni kobiety gorzej, aniżeli w Europie. Zabrania im tego religia, która poniżając z jednej strony kobietę, z drugiej poleca ją jako bezbronną istotę tem gorliwszej opiece mężczyzn. Prawowity muzułmanin nie zapomina o tym rozkazie proroka: pełne szacunku zachowanie się w obec kobiety uważa on jako swój obowiązek i bynajmniej nie ustępuje pod tym względem Europejczykom. Że wyjątki zdarzają się, to niczego nie dowodzi. Gdzież ich nie brak? „Z czystem jednak sumieniem — są słowa zanzibarskiej księżniczki — zapewnić mogę moich czytelników że tkliwych małżonków, którzy biją swe żony, widziałam dopiero tutaj; Arab uważałby podobny postępek za ujmę czci własnej“...

W razie pokrzywdzenia przez męża znajduje żona obronę u swych krewnych. Wreszcie przysłuża jej i pomoc prawna, może ona bowiem zażądać jej od każdego kadi'ego. Najczęściej jednak sama daje sobie radę.

Zajmujące także szczegóły podaje pani Ruete o zwyczajach przestrzeganych pomiędzy małżonkami: Przy powitaniu całują sobie oboje nawzajem ręce. Obiad jedzą pospołu, w towarzystwie dzieci. Żona stara się zazwyczaj składać na każdym kroku dowody troskliwości o męża; ona wychodzącemu broń podaje, ona zdejmuje z niego płaszcz, gdy pan domu zawita z powrotem, ona przy obiedzie przysuwa do niego naczynia z potrawami i czarę z napojem. Do tych usług nie jest bynajmniej obowiązaną, wyświadcza je tylko z miłości.

W obrębie gospodarstwa domowego jest żona nieograniczną panią. Również wychowanie dzieci należy niepodzielnie do niej. W tem właśnie upatruje Zanzibarka całe swe szczęście w zamian zaś otrzymuje szacunek i przywiązanie męża i dzieci.

Pod jednym szczególniej względem stawia księżniczka zanzibarska rodaczki swe o wiele wyżej niż europejskie. „Orjentalki — pisze pani

Ruete — nie znają na szczęście sznurówki, która ugniata najszlachetniejsze organa u kobiet europejskich. Nie w stroju, lecz w doborze materyj i w ich przyozdobieniu rozwijają strojnisie zanzibarskie całą swą troskliwość. W Europie moda przynosi niemal co chwila zmiany, a to odbija się najdosadniej na finansowych stosunkach rodzin. O ileż mniej byłoby nędzy, o ile mniej kwasów domowych, gdyby moda mniej stawiała żądań. A niestety stało się hołdowanie modzie tak ogólnem, że chcąc nie chcąc, trzeba jej ulegać bez względu na to, czy stosunki pozwalają lub nie. Pod tym względem nie mogą Arabki równać się z kobietami świata cywilizowanego. W obec różnorodności nieodzownych strojów kobiecych. w Europie, jakże prostym jest strój Arabki. Składa się on z koszuli sięgającej po kostki, z krótkich spodnic i okrycia na głowę... Opuszczaąc dom zarzuca kobieta na siebie szal jeszcze, który stosownie do pory roku lub dnia zastępuje równie dobrze narzutkę, jak płaszczyk, prochownik, nakrycie od deszczu i t. p. ów szal (zwany właściwie „Szele“) przedstawia się jako wielka chusta z czarnego jedwabiu z bordiurą złotą lub srebrną. Obfitość i układ bordiury zależy od stopnia zamożności i od gustu właścicielki. Opisany szal nigdy nie wychodzi z mody, istnieje zaś szlachetny zwyczaj, iż kobieta, choćby najbogatsza, posiada jeden szal tylko. A przecież skłonność do zbytku i przesadnego strojenia się łatwiej wybaczyćby można kobietom Wschodu, nie posiadającym żadnego wykształcenia, aniżeli kobietom europejskim, które dzięki swemu wychowaniu i dzięki odmiennemu w społeczeństwie stanowisku, mają przed sobą wiele piękniejszych celów, niż nieustanne zajmowanie się garderobą“.

Pani Ruete podnosi inne jeszcze zalety swych rodaków. „Zanzibarczyk, czytamy, jest z natury otwarty i całkiem niezdolny do symulacyj, z jakiemi tutaj spotykam się tak często. Nie zwykł on się kryć zarówno z sympatjami swemi, jak z zawiścią. Nie umie też kopać dołków pod swym nieprzyjacielem, lub dręczyć go drobnemi przykrościami! Obcą mu wreszcie konwencjonalna grzeczność i szablonowe formy towarzyskie. Coś podobnego uważanoby u nas za objawy... tchórzostwa“.

Sądzimy, że tych kilka wyjątków wystarczy, aby poznać ton całej książki i ducha, jakim ona jest przesąknięta. O nienawiść przeciw cywilizacji trudno panią Ruete pomówić; z każdego jej słowa przebija się szczerość, a jeśli nawet przywiązanie do ziemi ojczystej i do czarnych rodaków nadało jej relacjom nieco zbyt optymistyczny pokost, to znowu z drugiej strony, w ocenieniu stosunków europejskich przez nią nie pesymizm, lecz tylko bystrą obserwacją podnieść należy. Bo też cywilizacja nie jest samych dobrych wieści aniołem; podaje ona społeczeństwu ludzkiemu niezawodnie pokrzepiający napój, dolewa jednak doń zaraz krople trucizny. Było tak zawsze i tak też zawsze będzie. Dosięgnąwszy ideału, świat straciłby cel swój. Złe i dobre równoważyć się musi. Tylko takie pojmowanie godzi nas z samymi sobą i pomimo wszelkich cnót, które pani Ruete widzi u swych ziomków, a wszelkich zdrożności, jakie słusznie wytyka cywilizowanej Europie, czujemy się przecie wyższymi od szczerych, roztropnych i oszczędnych zanzibarczyków. *St. R.*

Sprzeczka.

(Z cyklu „Młode małżeństwo“.)

„Co tobie?“ — Nie słucha
— „Gniewasz się?“ — „Jak jeszcze!“
— „Przestaniesz, aniołku!
Chodź, niech cię popieszczę!“

— „Proszę! zbytek łaski!
Płonę gniewem cała.
Gdybym był ptaszkiem,
W światbym uleciała.“

— „Ja wtedy za tobą
Goniłbym po świecie
I musiałbym w końcu
Chwycić cię w me siecie.“

— „No, to... rybką zwinną
Spadłabym w jezioro...“
— „Ach, na rybki także
Jest sposobów sporo.“

— „Rybkę złowić możesz,
Lecz gdy stąd daleko
Wymknę się na zawsze
Wartką, srebrną rzeką —“

— „To porwcze fale,
Fale ukochane,
Same przyjdą do mnie,
Bo się morzem stanę.“

— Ja w parę zmieniona
Chmurką wzlecę z toni...“
— „Nie ujdziesz mi, chmurko;
Wietrzyk cię dogoni.

„Wierz mi, żadne cuda
Ciebie nie ustrzegą...
No... dajże całuska...
No... daj odczepnego!“

— „Hola! — ona rzecze,
„Gdy na wszystko, wszędzie
Masz sposób, — wziąć całus,
Nie trudno ci będzie.“

Napróżno mąż błaga
I czułe szle słowa;
Jak sarna przed łowcem,
Tak się ona chowa.

Jak motylek fruwa
Do około stołu...
— „Ha, dobrze! będziemy
Biegali pospołu.“

Uciekając, jeszcze
Drwi: „Gdy ci za rybką,
Za ptaszkiem mknąć łatwo,
Uchwyćże mnie szybko.

„Uchwyć mnie, gdy łaska;
Weź w objęcia swoje...“
Wtem ktoś wszedł... Jak martwi
Stanęli oboje.

To mateczka pani,
Tak ich zaszła skrycie...
— „Ślicznie! mówi. Cóż to?
W kotka się bawicie!

— „To ona...“ — „O proszę!
To on...“ — Ładnie, ładnie!“
— „Ale że też mama
Wszystko zaraz zgadnie!...“

W jej poczciwem oku
Łza wzruszenia świeci,
Rzewnie szepczą usta:
— „O, dzieci, o, dzieci...“

St. Ross.

ŻADNA!

(Z cyklu „Pyłków“)

przez Ursyna.

Na estradzie, okolonej dymem tytuniowym, bardzo krótko ubrana *fräulein* Margaritte właśnie śpiewała:

„Ich trinke nicht mehr, nein, nein,
Ich trinke nicht mehr, nein, nein,
Bin aus dem Städtchen
Das bravste Mädchen...“ -

kiedy on wszedł i usiadł przy jednym z ostatnich stolików długiej, wązkiej a dusznej sali restauracyjnej.

Usiadł, mocno zastukał w stół podstawką od piwa i oparł głowę na pięści.

Był zły i smutny.

I słusznie był taki. Bo dziś właśnie, przed chwilą porzuciła go kochanka. Śmiała go opuścić jego rudowłosa Adela, powiedziawszy mu wprzód, że jest stary i niedołęga... A nadto — co za bezczelność! — ofiarowało mu na odchodnem pęk siwych włosów i z uśmiechem powiedziała!

— Masz. to twoje!... Wyrwałam ci mój stary, z głowy dziś rano, kiedyś spał w najlepsze...

Czyż mogło być coś okropniejszego? On, który sobie przez całe życie żartował z kobiet, który zdobywał je sobie jednem spojrzeniem ognistych swoich oczów, który przebierał i porzucał kochanki, jak się porzuca stół, pełen szczątków po obfitej uczcie — dzisiaj został sromotnie opuszczony i wyśmiany...

Zastukał raz jeszcze, zawołał:

— Ponczu!

Za chwilę stanął przed nim wyfraczony, trochę łysy a jednak wypomadowany kelner, mocno strzepnął serwetą okruchy ze stołu i spojrzał badawczo na gościa. Potem, odchodząc, parę razy obejrzał się jeszcze i uśmiech wystąpił mu na wązkie sine wargi.

W sali oklaskiwano *fräulein* Margaritte, kiedy płonący poncz stanął przed smutnym gościem, a stary kelner nachylił się, ukłonił się i szepnął:

— Pan mnie nie poznaje?

— Nie — brzmiała odpowiedź.

Jestem Bolesław — mówił szybko, raz krzywiąc się, raz uśmiechając, i ukazując wyszczerbione zęby. Pamięta pan, to już dawno, w restauracyi „Pod szparagiem“, tam panu usługiwałem... To już ze dwadzieścia lat temu, ale ja pana często wspominałem...

— Dobre ci dawałem napiwki?

Kelner uśmiechnął się znowu, chwycił się ręką zatłuszczonej klapy swego fraka, nachylił niżej jeszcze muskularną a błyszczącą twarz i szepnął:

— Pamięta pan tę dziewczynę - młodą bladą?... Miała na imię Anna...

Ktoś stuknął z boku i stary kelner drgnął, wyprostował się i pobiegł.

Anna!... młoda, blada dziewczyna... Tak przypomina sobie! Był wtedy bardzo młody i była to pierwsza dziewczyna, którą uwiódł... Przypomina sobie nawet jej rysy: te oczy jasne, bez brwi i rzęsy, usta drobne i ładnie wykrojone, czoło nizko zarośnięte i włosy płowe. Zdaje mu się nawet, że przypomina sobie ów dziwny zapach, jaki z siebie ta nizka i niekształtna jeszcze dziewczyna wydawała — zapach świeżo skoszonego siana.

Poznali się letnią porą, któregoś z upalnych długich wieczorów czerwcowych. Gwiazdy świeciły na niebie, miasto tchnęło znużeniem, co o rozkosz woła, a w ich sercach rozżarzyło się pierwsze uczucie. Pokochali się. Codziennie nad wieczorem spotykali się na ulicy, pełnej kurzu i wrzawy, a w niedzielę i święta wędrowali za miasto. W zacisznej restauracyi „Pod szparagiem“ mieli swoją altankę, gdzie raczyli się wódką, zajadali ser i wędliny i popijali piwem.

Były to dla nich chwile najprzyjemniejsze. Tutaj ta mała Anna zrzucała swój skromny kapelusik, składała swoją główkę na jego ramieniu i drżała pod urokiem pierwszych wyznań i pierwszych pieszczot, jakie mi ją obdzielał.

O, pamięta dobrze, pamięta te jej zaklęcia i te jej prośby... Pamięta również te pierwsze wielkie łzy, które potokiem toczyły się po jej zarumienionych policzkach, i ten nieśmiały, cichy, pierwszy wyrzut.

Ale ileż później było szczęścia!...

Dobra była dziewczyna. Kochała go serdecznie, przywiązała się do niego, jak pies. Klękała przed nim i całowała po rękach, kiedy był smutny, lub zły, śmiała się, kiedy on śmiać się chciał, przybiegała do niego na każde wezwanie, na każde skinienie i podawała mu swe drobne usta do całusów, ramiona do uścisków...

Raz jeden, raz jedyny tylko powiedziała mu przykre, bardzo przykre słowo. Raz jeden, raz jedyny, straszny, tłumiony żal wylała w trzech wyrazach:

— Jakiś ty podły!

Było to w owo październikowe południe, kiedy przemoczoną, ziębniętą z pod drzwi odpędził, wprost nie przyjął u siebie... Nie chciał jej już widzieć, znudziła mu się ta jasna, cicha, potulna dziewczyna.

I nie widział jej więcej.

Dziś mu ją przypomniano. Przypomniał mu o niej ten stary, obrzydliwy fagas, który pamiętał chwile jego młodzieńczych upojeń i który był świadkiem, jak się klecił romans o tej samej zawsze, pospolitej treści...

A ileż on miał w życiu tych romansów!... Czyż wszystko to już minęło bezpowrotnie i czyż taka czczość i nicość już do końca życia prześladować go będzie?... Albo po to żył, by u schyłku nie mieć serca jednego, coby życzliwie przy jego sercu biło? Strawił długie lata, goniąc za miłością i spijając rozkosze... I czyż dziś ma już na zawsze zostać samotnym, z wyrzutem i pustką w piersiach.

A jednak tak jest. Wszystkie kobiety, które posiadał, zapomniały dziś o nim i pogardzają nim. Wszystkie, wie o wszytkich!... Może ta jedna o nim pamięta?... Chociaż jedna przecież powinna myśleć o nim i... cierpieć przez niego, tak cierpieć, koniecznie cierpieć... Toby mu przyjemność sprawiło. Mógłby ją pocieszyć, no i być dumnym z siebie i zadowolonym...

(Dokończenie nastąpi.)